

KŁAMSTWO.

Lina nachyla się nad mężem troskliwie.
— Ach! Boże! Depesza? Nic ważnego! Nieprawdaż?
Wnet jednak milknie na widok bladej twarzy Jana: jego zmieszania,
— Co? Co się stało? — pyta niespokojnie.
— Przystań! Przystań, Lino! — błaga Jan.

Młoda kobieta wyrwa mu depeszę z rąk i czyta zdumiona:
„Edzia umierająca. Wzywa pana. Przyjeżdżaj przez łtosość“.

— Co to znaczy, Janie? Kto to ta Edzia, wzywająca cię do swego łoża śmierci? Dlaczego ja nie znam jej? Ja, twoja żona? Czemu jesteś taki błady? Czemu drżysz?

— Odpowiedz, Janie! — nalegała Lina, strwożona jego milczeniem. — Ja chcę wiedzieć! Muszę, mam prawo wiedzieć! Ty milczysz? O! ja nieszczęśliwa!

Wybucho płaczem.
— Cicho, Lino! Cicho, dziecko! Uspokój się, błagam cię. Poznałem to biedactwo przed... pięciu laty... — wyznaje Jan szepcąc.

— Ko... ko... chałeś ją? — jaka Lina wśród łkań.

— Tak... Nie... Zdawało mi się raczej... tłumaczy się nieszczęśliwy człowiek, zupełnie stropiony. — Ach, Lino, te nasze młodzieńcze uniesienia nie mają nic wspólnego z prawdziwą miłością, tą jedyną, którą kocham ciebie..

— Kochałeś ją — łka Lina, trzęsąc głowę z uporem.

— Zawarłem znajomość z nią podczas podróży do Poitiers. Miałem interesy z jej stryjem, poważnym przemysłowcem i wydywałem ją często w jego domu. Nie znałem jeszcze ciebie, Lino! Była chwila rzeczywistości, kiedy myślałem o związku małżeńskim z nią. Niebawem jednak, po powrocie z Paryża, zrozumiałem swą omyłkę. Napisałem wówczas do niej długi i niegodziwy list, prosząc, by zapomniała o mnie, przestała kochać... Zdaje mi się, że... cierpiała bardzo z mego powodu... Wyrządziłem jej wielką krzywdę...

— Kochałeś ją — powtarza Lina martwym automatycznym głosem.

Myśl, że inna była kiedyś panią serca jej Jana, posiadała najlepszą jego cząstkę, bo pierwsze drgnięcia miłosne, wtrząsnęło Linę uczuciem nieznanym a złem. Na widok tej depeszy, wobec tego posłańca śmierci, ona myślała o jednym tylko:

— Jan kochał tę kobietę przede mną...
— Nie pojedziesz do niej! — krzyknęła gniewnie.

— Lino! Tem jednym mogę w części bodaj naprawić błąd mojej przeszłości; odkupić winę, wynagrodzić krzywdę, nad którą boleję stale... Czy mogę odmówić umierającej, Lino?!

— I ja pojedę w takim razie! — postanawia Lina, mniąc i rzucając w kąt depeszę.

* * *

Nazajutrz, po żmudnej, ciężkim milczeniem brzemiennej podróży, stanęli o zmroku przed szarym domem bardzo starej ulicy Jezuickiej w Poitiers.

— Jesteśmy na miejscu — odzywa się Jan — pozwól mi, błagam cię, Lino, wejść samemu.

— Nie! — mówi Lina stanowczo — przekonana jestem, że skłamałeś. Ta kobieta zajmuje jeszcze poważne miejsce w twoim sercu i życiu. Nienawidzę ją. Dlaczego nie mam wejść razem z tobą? Chyba, że ukrywasz coś jeszcze straszniejszego przede mną, a w takim razie nie zobaczysz mnie więcej na tym świecie?

Schylił głowę ruchem znużonym, poddałym. Czyż ma stawiać całą swoją przyszłość, szczęście całego życia na szali? Nie miał na to odwagi, mimo, iż rozumiał, czuł, jakim policzkiem, ostatnią a najgorszą obelgą dla umierającej będzie zjawienie się jego z żoną u boku!

Spojrzał na Linę ukradkiem. Twarz jej miała wyraz ostry, zacięty.

— Rób, jak uważasz — rzekł matowym głosem, naciskając guzik dzwonka. W otwartych drzwiach stanęła strasza kobieta z oczami czerwonymi od płaczu.

— Ach! To pan — wita Jana z wyrazem głębokiej wdzięczności w twarzy. — Chodźmy, chodźmy prędko do niej! Doktor twierdzi, że godziny jej są policzone, a ona pragnie tak gorąco ujrzeć pana przed śmiercią!..

Nie zauważywszy idącej w ślad za nimi Liny, prowadzi Jana przez wół ciemny korytarz!

— Tak pana kocha! szepcze, szlochając. Łudziła się ciągle nadzieją, że wrócisz do niej, że te kłopoty rodzinne, o których wspomniałeś w liście, ułożą się jakoś. Biedactwo moje! Nie zrozumiało! Nie chciało zrozumieć! Wczoraj jeszcze powtarzała w małignie:

„On wróci, mamo! Wróci i zabierze mnie do siebie.“

— Nie wie?... — zaczyna Jan zmieszany.

— Żeś się pan ożenił? Ach, nie! Udało mi się ukryć to przed Edzią. Bałam się tego straszego ciosu dla niej.

Za nimi, sztywna, milcząca, Lina idzie na palcach i przysłuchuje się rozmowie.

Tego już nadto! Usuwano ją poprostu. Wykreślano z życia Jana! Ja, prawowitą jego małżonkę!.. Aby nie urazić tej nieznajomej, szczęśliwej kobiety, która posiadała skarb bezcenny: pierwsze uczucie Jana! Tej, po której ona, Lina, zebrała okrucy miłości tylko Ona, Lina, nie istnieje? Zobaczmy!

Podniecona temi myślami, młoda kobieta staje nagle w drzwiach, prowadzących do

pokoju chorej. Podczas, gdy Jan padł na kolana przy łóżku, całując z łkaniem białą, przezroczystą dłoń, Lina onieśmielona, wpatrując się zdaleka w drobną twarzyczkę białości marmuru, w oczy nie z tego świata, drżące ręce, niespokojne, jakby przytrzymać chciały uciekające życie...

— Ach, Janie!.. rozlega się cichy, przytłumiony, grobowy omal głos. — Janie! Tyżeś to!.. Ty!..

Jak żądlem ukąszona Lina drgnęła.

— Janie!.. — szepcze w ekstazie. — Wróciłeś? Jesteś?... Oczy nie mylą mnie?... Nie śmiem prawie... wierzyć w to!.. Kochasz... mnie... zawsze?... Tylko mnie?... Przyszedłeś zabrać mnie ze sobą?!

— Uspokój się, Edziu!.. Uspokój! Przyśzedłem!.. Jestem!.. Nie mów nie!.. Nie męcz się!.. — błaga Jan głęboko przejęty i zmieszany zarazem myślą o Linie za jego plecami

— Powiedz!.. Powiedz!.. — nalega umierająca z gorączką i nienaturalnym blaskiem w oczach, wół unosząc się z trudem na poduszkach. — Kochasz mnie?... Kochasz jeszcze?

Szarpany uczuciem łtosości dla konającej, oraz trwoga o swe szczęście i ognisko domowe, Jan milczy, waha się przed dobroczynnym kłamstwem

— Janie!.. — błaga chora coraz niespokojniej — powiedz, że kochasz mnie... — Kto to? Kto to? — woła nagle, wpatrując się błyszczącym wzrokiem w drzwi — nie jesteś sam, Janie!.. Tam stoi kobieta... kobieta!..

— Skłamałiście!.. Skłamałiście!.. — zwraca się z bolesną wymówką do swej matki. — Ta kobieta... Ta kobieta... to ja... go...

Duszac się, opadła na poduszki.

Lina podb'ega. Nachyla się nad trupio bladą twarzyczką, po której cienie śmierci błdziły.

— Pani... Pani... krztusi się Edzia — jest... jego... jego...

— Jego siostrą — kończy cicho Lina z anielską dobrocią w oczach.

Gasnący wzrok wpija się w Linę z wyrazem nieziemskiego zachwyty.

— Jestem jego siostrą — powtarza Lina pewniejszym głosem. — On kocha cię zawsze...

Boski spokoi ogarnia powoli stygnące rysy. Lina wówczas, zbliżywszy usta do ucha Edzi, by dobroczynnym kłamstwem złagodzić męki kenania, szepcze tkliwie:

— I przyjechałiśmy po ciebie...

Thum. Jotsaw.



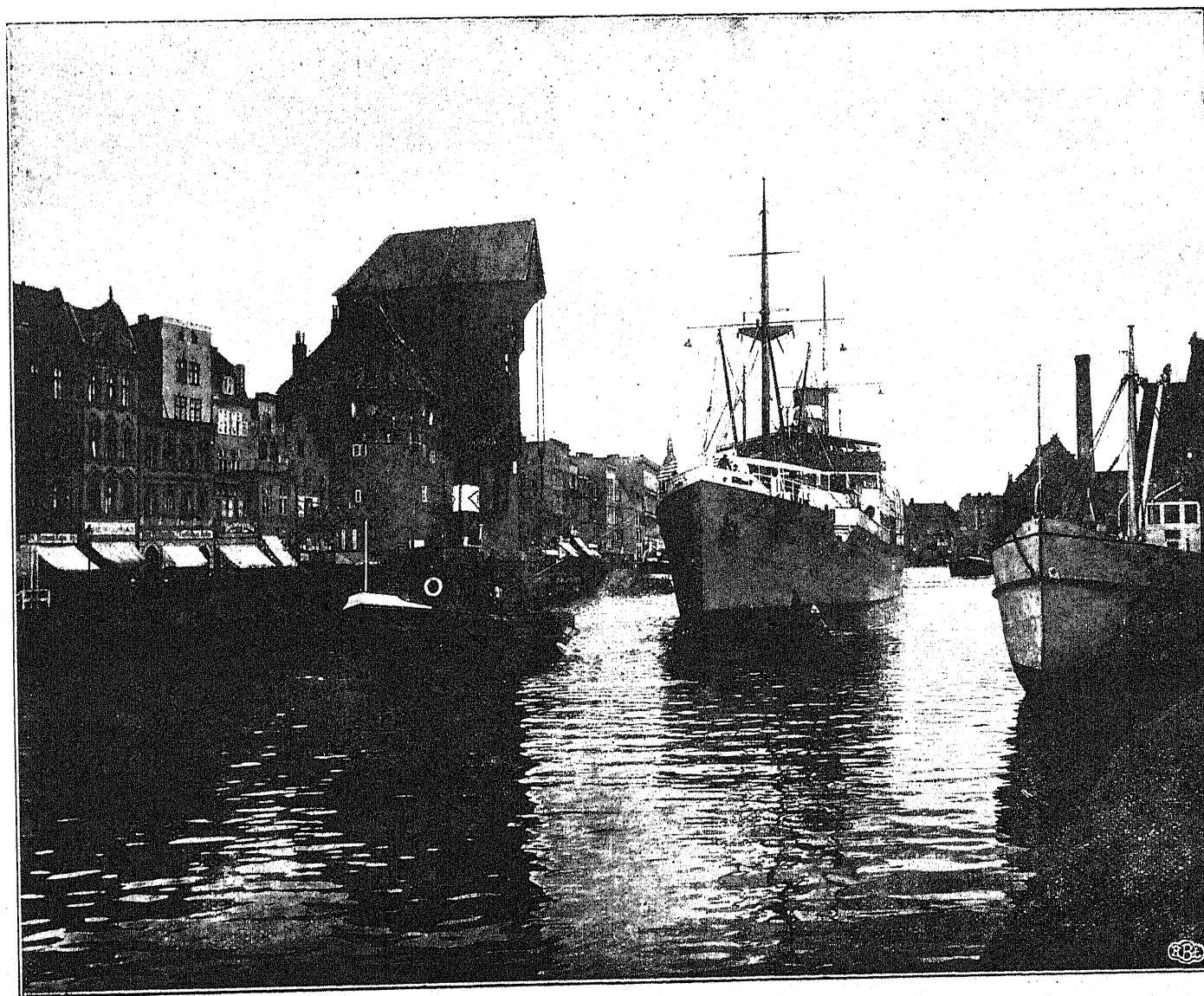
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 3-go listopada 1929 roku.

Nr. 44.

W porcie Wolnego Miasta.



Tak oto wygląda stary port gdański z potężnymi okrętami pasażerskimi na wodach Bałtyku. Od strony lewej widzimy zabudowania nadbrzeżne miasta, na prawo zabudowania portowe, w środku zaś na wodach nowy parowiec „El Libertador“.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie: Rostworowski, Szpotański, — Drobiazgi teatralne.

„Niespodziankę“ Rostworowskiego, która niedawno stała się przedmiotem — dość przypadkowej zresztą — polemiki w prasie łódzkiej, wystawił w tych dniach Teatr Narodowy, osiągając sukces artystyczny rzadko spotykany. Prasa stołeczna potraktowała premjerę z należnym wielkiemu dziełu respektem, a ton sprawozdań, pomimo wysuwane tu i ówdzie zastrzeżenia, podrażdziejcej natury, należy skwalifikować jako bardzo gorący, w niejednym nawet wypadku entuzjastyczny. Oceniono zgodnie i jednomyślnie wysoki poziom „zdarzenia prawdziwego“, jego styl mocny i monumentalny, zwartość budowy, wymowę dramatycznego napięcia, język dramatu surowy, tak groźnie scharmonizowany z pierwotnością duszy chłopskiej. Podkreślono słusznie — mówiąc słowami jednego z krytyków — że „nie inaczej powinniśmy, pisarze polscy reagować, tylko entuzjazmem, gdy dzieła tej skali artystycznej i tej miary, co „Niespodzianka“ Rostworowskiego, ukazują się w współczesnej naszej literaturze. Wzbogacają one nasz dorobek kulturalny i artystyczny — dorobek pokołeni, w którym sądzono nam działać“...

Solski, jako Ojciec, dźwignął swą kreację do prawdziwych wyżyn sztuki aktorskiej, sięgając do najdalszej głębi psychicznej otwartej postaci, nadając jej pełnię wyrazu, jakiej nie osiągnie dzisiaj żaden współczesny aktor polski. O tej roli Solskiego, wywołującej obecnie długą litanię superlatywów, mówić się będzie długo w świetle teatru i stawiać ją za wzór najznakomitszego najczystszej pojmowania zadań sztuki scenicznej we właściwym jej znaczeniu. — Niełatwe zadanie miała również p. Bronisława (Matka), zwłaszcza, gdy grać jej przeszło z tak niepospolitym partnerem, wyszła przecież z tych trudności obronną ręką, a świetny talent artystki umożliwił jej wydobycie z roli niejednego głębokiego i wstrząsającego efektu. Pod batutą reżyserką mistrza Solskiego, dzielnie spisali się w rolach pomniejszych pp. Kamieniecka, Solarski i Skarzyński, a piękne tło dekoracyjne Drabika dopełniło całości reprezentacyjnego pod każdym względem widowiska.

Teatr Nowy (w salach Redutowych) otworzył sezon sztuką Stanisława Szpotańskiego p. t. „Sprawa dr. Hieronima“. Pomimo dużej oryginalności formalnej, sztuka nie czyni wrażenia nowoczesności, a założenie jej i konflikty bohatera należą w zupełności do minionej epoki „welschmerzów“ i „madludzi“. Takim „nadczłowiekiem“ ma być ów dr. Hieronim, postać owiana Nietzsche'ańskimi mgłami, w której żyłach płyną soki ibsenizmu i przybyszewszczyzny. Dr. Hieronim, idąc bezwzględnie po drodze indywidualnego szczęścia, usiłował otruć żonę; ponieważ w ostatniej chwili cofa ona zeznania obciążające, dr. Hieronim uniknął kary, nie uniknął jednak osądu bliźszego i dalszego otoczenia, które odwraca się od niedoszłego truciela. Dr. Hieronim pozostaje sam, a z samotności tej czerpie nie si-

lę lecz słabość, mocuje się, ile mu sił starczy, ze światem, pada jednak pokonany, a cibel staje się jego eksploją za winę, której inaczej nie zmała.

Oscylując pomiędzy zagadnieniami indywidualizmu i uniwersalizmu, Szpotański potrąca szereg kwestyj natury społecznej i etycznej, nie doprowadzając jednak żadnej z nich do określonego wyniku, nie wyciągając własnych wniosków i konkluzji. Sztukę przyjęto z pewnym zdziwieniem i niedowierzaniem; publiczność jakgdyby waha się, czy traktować ma „sprawę dr. Hiero-

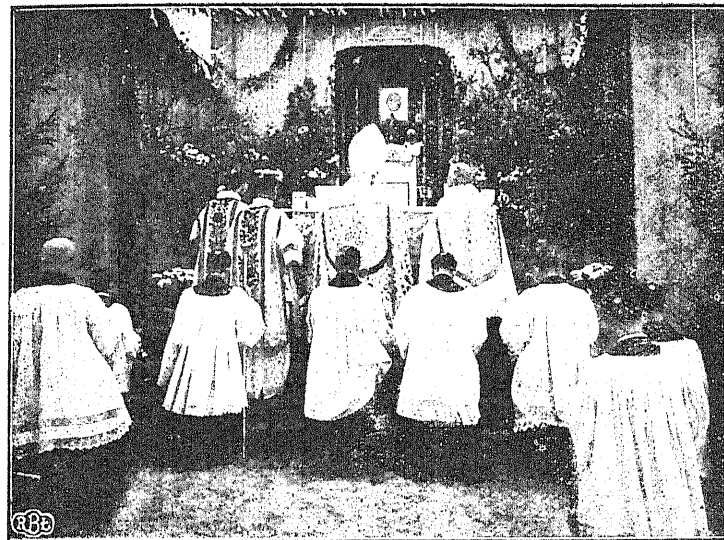
nima“ na serio, czy też wszystko co bohater mówi, myśli i czyni, jest jedynie mało znaczącym eksperymentem autorskim, niefortunnie w danym wypadku pomyslanym, choć, jak wspomnieliśmy, metodami oryginalnymi przeprowadzonym. Sztuka Szpotańskiego otrzymała doskonałą reżyserję p. Chaberskiego oraz obsadę pierwszorzędną, z pp. Solską, Dulębą i Brydzińskim (rola tytułowa). Wydaje się jednak, że i taka nawet obsada nie zdoła uratować dr. Hieronima, jako nie posiadającego danych do dłuższego scenicznego życia.



W ubiegłym tygodniu odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę nowej świątyni pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu. Świątynia ta stanie przy Szosie Pabjanickiej. Na zdjęciu powyższym widzimy J. E. ks. biskupa dr. Tymienieckiego, poświęcającego kamień węgielny.



Komitet budowy kościoła św. Franciszka z ks. kanonikiem Kajetanem Nasierowskim na czele na tle ołtarza pelowego przyszłej świątyni.



Fragment uroczystego poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę kościoła św. Franciszka z Asyżu przy Szosie Pabjanickiej.



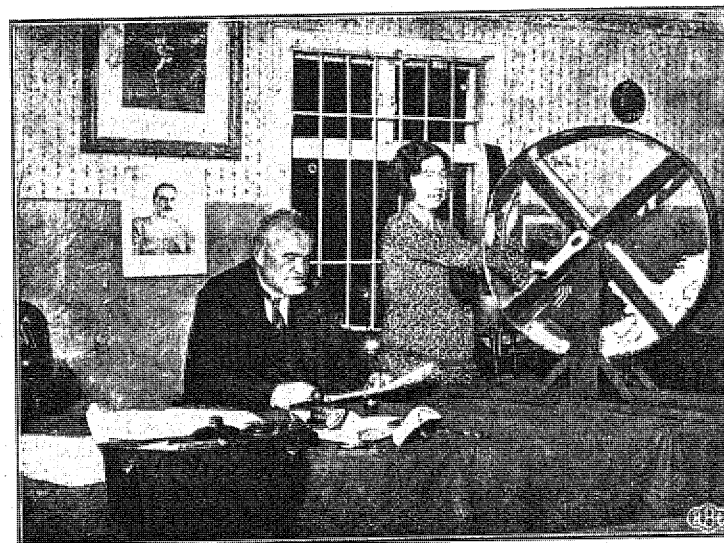
Na mogile ś. p. ks. prałata Karola Smidła, ufundowany został i poświęcony wspólny pomnik, widziany na zdjęciu powyższym.

Niezwykła sensacja artystyczna oczekuje publiczność japońską w grudniu b. r. Oto w jednym z teatrów tokijskich wystawiona będzie po raz pierwszy w historii Kraju Wschodzącego Słońca — opera, która dotychczas była rodzajem widowiska, w Japonii zupełnie nieznanym. Kompozytorem tej opery p. t. „Upadłe anioły“ jest muzyk japoński Yamada, który napisał ją przed kilkunastu laty, podczas swych studiów w Berlinie. Próby prowadzi sam kompozytor, chór składać się będzie ze stu osób, partię orkiestrową wykona zespół symfoniczny Filharmonii w Tokio. Można sobie wyobrazić, z jakim niezwykłym zaciekawieniem oczekuje publiczność tokijska premjery dzieła Yamady.

Należy dodać, że Yamada ukończył niedawno nową 4-aktową operę, do której tekst napisał jeden z librecistów amerykańskich. Opera ta ma być wystawiona w niedalekiej przyszłości na jednej z największych scen świata, Metropolitan Opera House w Nowym Jorku.

Maurycy Rostand który swym „Napoleonem IV“ wywołał w r. ub. w Paryżu głośny skandal dyplomatyczny, ukończył nową sztukę o sensacyjnej treści p. t. „Ostatni Car“.

Delta.



Oginienie losów loterii fantowej na rzecz Floty Narodowej w lokalu urzędu gminy Radogoszcz. Dla loterii tej przeznaczono „Echo“ premję w rodzaju srebrnego nakrycia fragatowskiego.



Konwent O.O. Bonifratrów realizuje plany budowy szpitala w Chojnach, którego gmach stanął już pod dachem. Na zdjęciu widzimy komitet budowy z przeorem konwentu ks. Mikołajczykiem na czele.



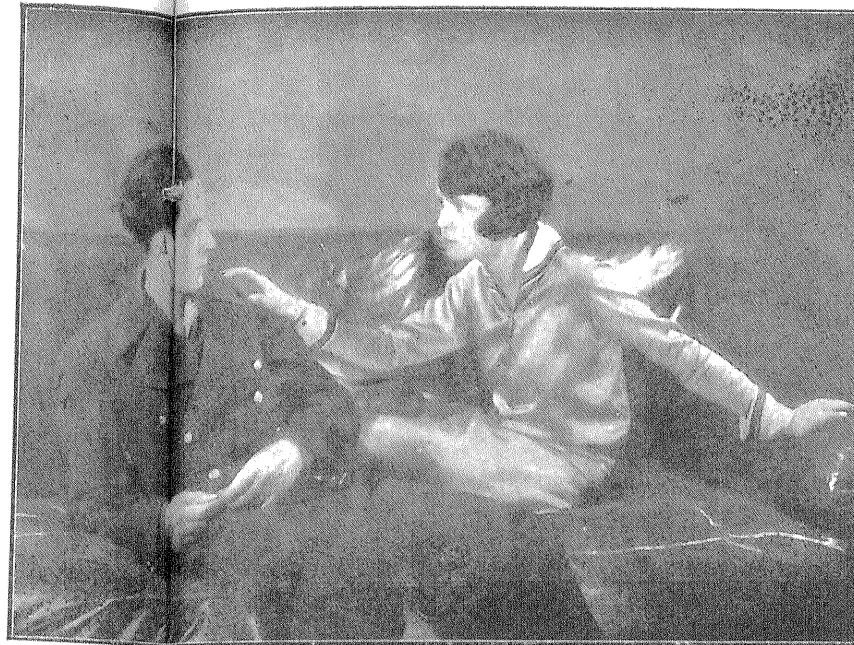
Fragment z zawodów piłkarskich rozegranych w ubiegłym tygodniu pomiędzy drużynami Turysty i Cracovia. Fot. Meyer.



Conrad Veidt z żoną oraz generalny kontroler „Universalu“ na Europę, p. Robitschek i Eryk Pommer wesoło spędzają chwile wolne od pracy.



Al. Wilson, bohater filmu „Władca przestworzy“.



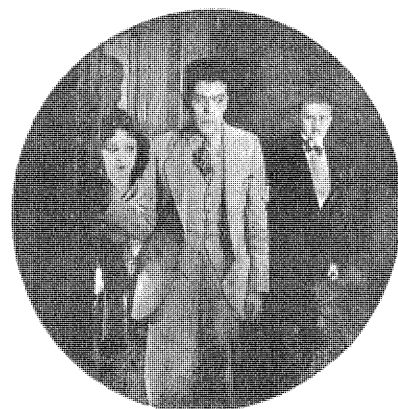
Zbyszko Sawin i Jaga Boryta odtwarzają główne role w polskim filmie morskim p. n. „Pod banderą miłości“.



Scena miłosna z filmu „Magdalena“ po mistrzowsku odegrana przez Zorikę Szymańską i Mieczysława Cybulskiego



Laura La Plante i Joseph Schildkraut w filmie dźwiękowo - śpiewnym p. n. „Statek kome-djantów“.



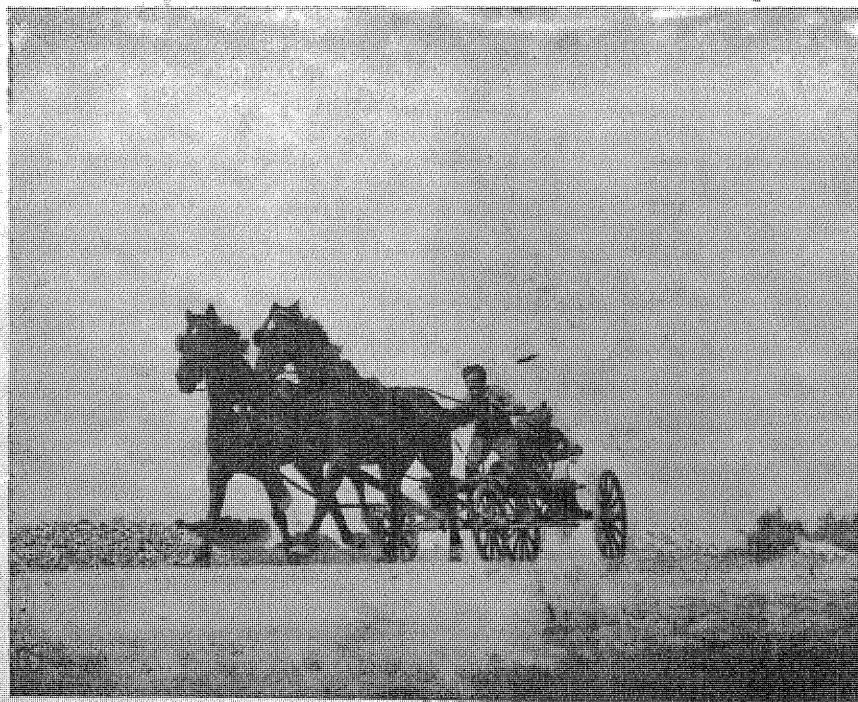
George Lewis w filmie „Plac Waszyngtona Nr. 13“.



Moment z filmu „Szarlatan“.



Scena zbiorowa z filmu „Nocny ptaszek“ z Reginaldem Denny.



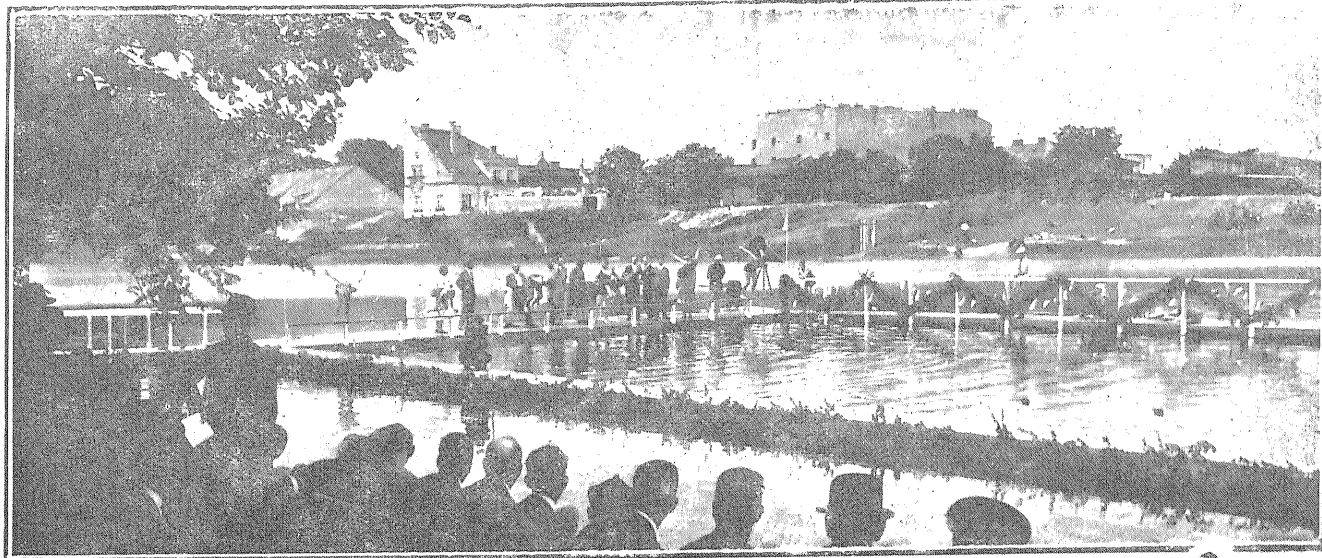
Fragment z filmu „Z dnia na dzień“. Jest to obraz produkcji polskiej.



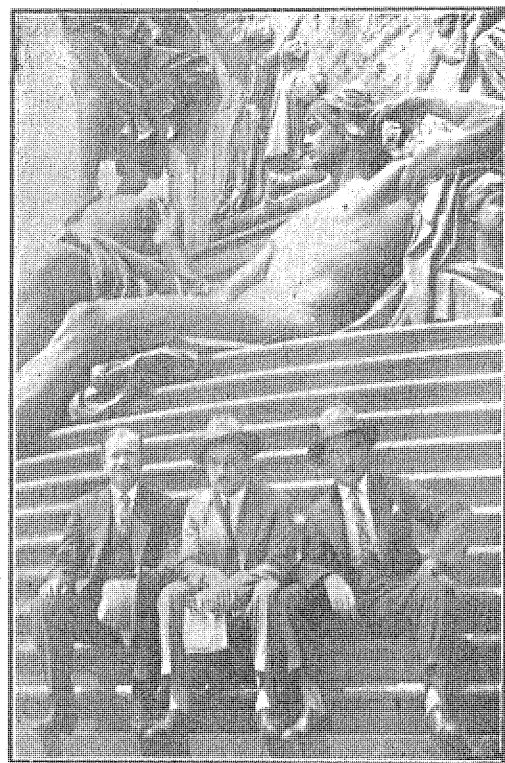
Carl Leamille, prezes „Universalu“ i Remarque naradzają się nad prze-róbką powieści „Na zachodzie bez zmian“.



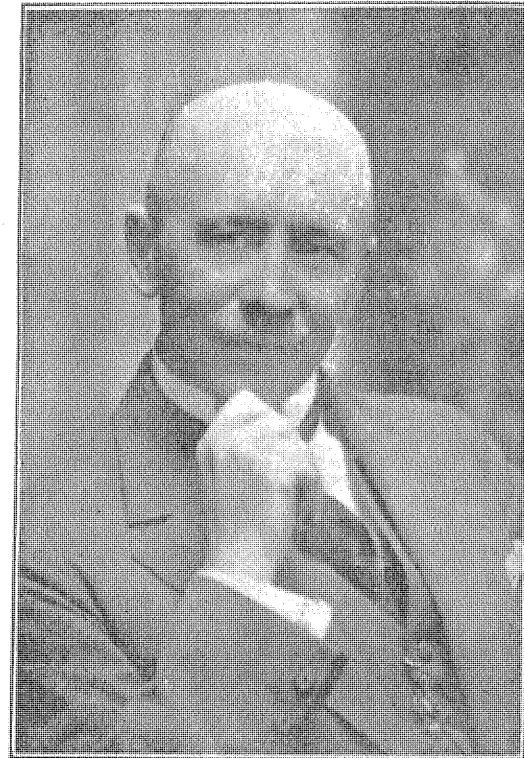
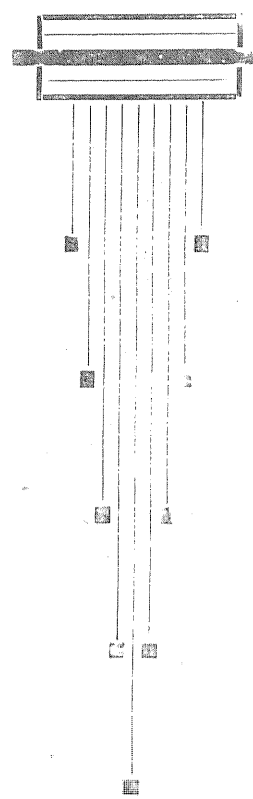
Irena Gawęcka i Mieczysław Cybulski dają koncert gry aktorskiej w filmie polskim p. n. „Magdalena“.



Grupa absolwentów i absolwentek Państwowego Inst. Wych. Fiz. z ciałem pedagogicznym na czele.



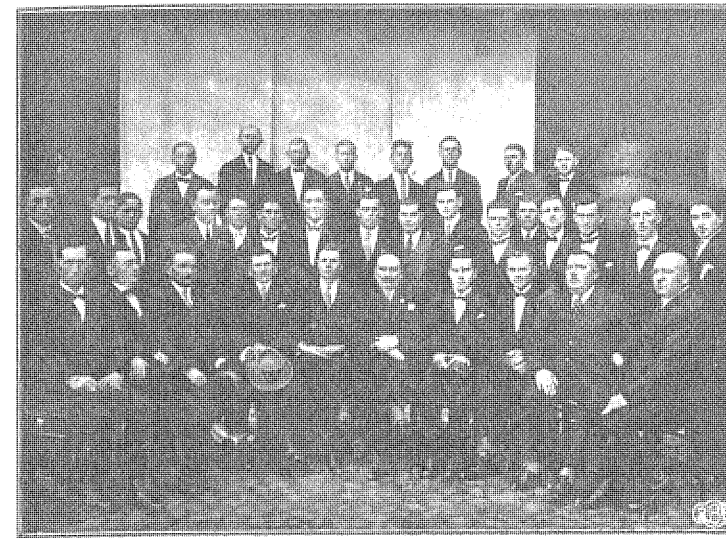
Przedstawiciele polskiego strzelnictwa plk. Węcki, major Kierzkowski i kpt. Żelazny.



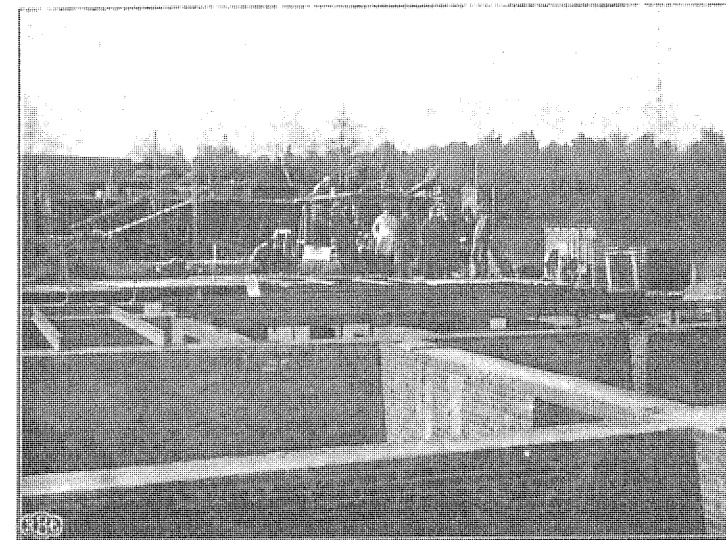
Dr. Kopczyński, ojciec higieny w szkołach polskich.



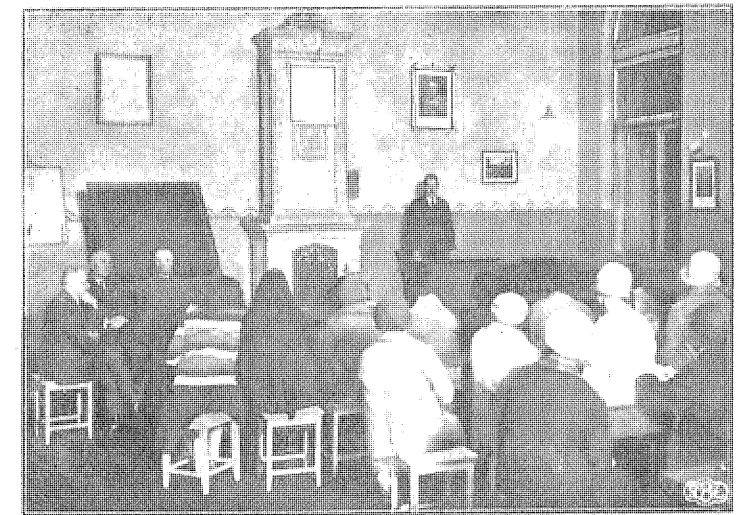
Trzykrotny mistrz polski, Wisła, uwieczniony pendzlem Wł. Hoffmana.



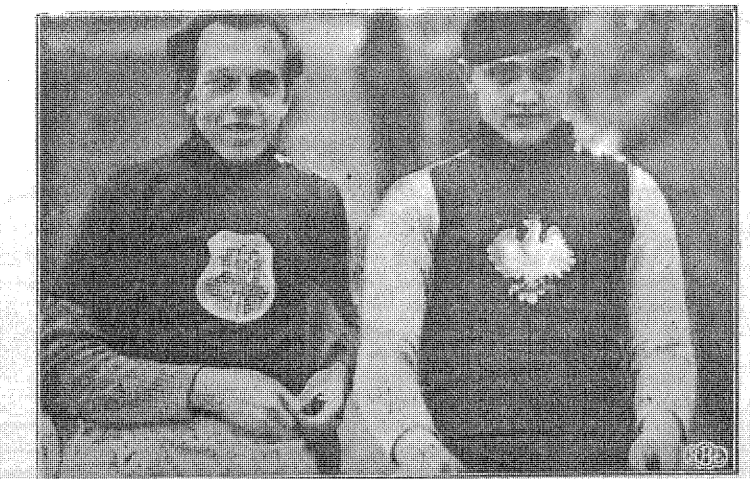
Sekcja praktykantów ogrodniczych przy C. P. Z. O. oddział w Łodzi, święciła pięciolecie swego istnienia. Uroczystość ta zakończona została zabawą taneczną. Powyżej od strony lewej widzimy członków sekcji praktykantów ogrodniczych, na prawo zaś fragment zabawy tanecznej.



Polski Czerwony Krzyż w Łodzi objawia niezwykłą żywotność. Poza codzienną służbą samarytańską prowadzi on budowę olbrzymiego szpitala, którego pierwsze mury widzimy na zdjęciu od strony lewej z przedstawicielami komisji technicznej, zwiedzającej budowę. Na prawo wykład szefa sanitarnego Czerwonego Krzyża, dr. Kallisa, na kursie przeszkolenia pielęgniarek.



Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej przy parafii św. Wojciecha w Chojnach w dzień rocznicy swego powstania. Na zdjęciu młodzież oraz komitet Stowarzyszenia z ks. Kukulskim na czele.



Rewelacyjne zwycięstwo olimpijczyka Koszutskiego Jerzego nad mistrzem Polski Szamotą.

CLAUDE CHAUVIERE.

Zabiłam się!...

Chłopic hotelowy pyta:

— Nic pani nie potrzeba?

— Nie.

Nie potrzebuję już niczego na świecie, oczywiście! Stawiam walizę na krześle, wrzuciłam do niej różową koszulę — najładniejszą — przybory toaletowe, róż, puder, ołówek do brwi, pomadkę do warg — będę robiła twarz do ostatniej chwili — no i rewolwer. Wpadłam na tę myśl dziś z rana. W Paryżu za dużo aut toczy się po jezdni, za dużo fortepianów rozbrzmiewa po piętrach...

Niekoniecznie dlatego odbieram sobie życie, że nie mam mężczyzny u boku. Broń Boże! Mężczyznę można mieć zawsze, jeśli jest ochota po temu. Mój nie był ani lepszy, ani gorszy od innych, przeciętny egoista na codzień, egoista w potęgę przy sposobności. Należało spodziewać się tego. Wszyscy wokół to myśleli a nikt nie ostrzegł mnie. No i uciekli, tłumacząc się miłością. Mniejsza z tem. Ale dlaczego okradli mnie, jak pojechałam na pogrzeb matki do Bretanii?

Sypiają teraz na pościeli, tkanej przez moją prahabkę, jadają z porcelany mojej ciotki — tej z Burbonów, srebrem stołowym mojej ciotki — tej z Belgii, zabrali obligacje mojego ojca, zostawiając mi to tylko, co niewarte było zabrania: sofę, miastylowe krzesła, piękne rosyjskie tytuły i... trochę pieniędzy na pociechę.

Mieszkanie było na imię mego męża; ślub wzięliśmy w Moskwie systemem komunistycznym. Rząd dzięki porozumieniu z dozorczynią nieruchomości zamknął na wszystko oczy i uszy, naskutek czego: „Wyprowadzaj się moja pani!“ — usłyszałam wezorał.

Co mam robić z sobą? Uprawiałam przez dziesięć lat zawód mężatki. Nic innego nie umiem. Nie mam rodziny, ani krewnych. Brak mi tego ustawicznego kłopotu, któremu „mąż“ na imię. Nie mam komu powiedzieć „dzień dobry“, na kogo irytować się za rozlaną wodę na woskową posadzkę, za nadmier w piachu, spóźnianie się na obiad.

Ach, te posiłki w samotności... Trochę szynki na tłustym papierze i szklanka herbaty... Dla mężczyzny przecież robimy sobie tyle zachodu z jedzeniem. Bez upodobania przeglądałam się w lustrze, jakkolwiek robię twarz stale... na wypadek, gdyby wrócił. Mimo pogardę bowiem, mimo oburzenie gotowa jestem przyjąć go...

Ale nie wraca. Niema wyjścia z sytuacji. Niema wyjścia... I raptem... postanowiłam zabić się. Gest nagły i zdecydowany. Odetchnęłam z ulgą.

Pokryty był rdzą. Moja siostra kupiła go, kiedy mieszkając pod miastem, musiała wracać do domu o zmierzchu ścieżką, idącą przez skraj lasu. Siostra wyszła później z mężem za inżyniera amerykańskiego. Są teraz

w Brazylii. Oddała mi broń na wyjeździe.

Wysmarowałam ją wazeliną, zamknęłam drzwi mieszkania na klucz i jazda na dworzec Montparnasse.

— Dokąd? — pyta konduktor.

— Nie wiem.

Urzędnik spogląda na mnie z ukosa. Ktoś za moimi plecami wymówił nazwę miasta. Powtórzyłam. Znalazłszy się na miejscu, poszłam ulicą przed siebie i oto jestem w pierwszym napokanym hotelu.

Południe. Zabiję się jutro o godzinie 6 z rana Tymczasem jestem głodna. Można zjeść śniadanie u paszternika na wprost katedry. Wiem o tem. Byłam tam ongiś z rodzicami i narzeczonymi. Mój luby całował mnie w usta podczas kiedy oni podziwiali witraże

Przy każdym stoliku lotnicy ze swemi kocłankami. Wesole to, gawędzące. A palą!

Tak panie: kurczę pieczone, mrożone owoce, kielich szampana i filtrowana kawa. Gorąca, bardzo gorąca przedewszystkiem. Mój stolik stoi przy zwierciadle. Patrzę. Nie jestem ani stara ani brzydka. Dziś nawet efektownie wyglądam.

Ten stary pan, w głębi, mocno, jak wiadać, przywiązany do dóbr tego świata. Samie drobne, tłuste udko, niezem protoplasta jego, kruszący surowe i ociekające krwią ude niedźwiedzia.

Bajeczna jest ta rudowosa o smukłej linii.

Ależ olbrzym z tego młodzieńca! Co za mięśnie...

Jak przyjmie mrożone owoce chłodzi mi podniebienie! Używajmy! Używajmy! Aromatyczna kawa teraz. Wiatyk na nową drogę. Jutro powiemy dowidzenia ludzkości — tej mieszaninie dobra, zła i głupoty.

Gdybym była bogatą lub zuchwałą intrygantką stawiałabym czoło sytuacji. Ale jestem mistyczką bez skrzydeł... idealistką domowego chowu... okradzioną przez męża i jego kochankę — bezradną kobietą.

Rachunek, panie kelnerze. Dziesięć procent za usługę? Ścisłe? Nie, bądźmy hojnymi raczej, wspaniałomyślni. Na co mi pieniądze?

O! Jakież ciężkie, ołowiane mam nogi! Kurz klebi się koło moich stóp. Podeszwy przywierają do asfaltu. Katedra cofa się wstecz, rozdzwaja. Słońce ciąży mi na karku. Powietrza brak. Jeszcze jeden słup kilometryczny i to mój hotel. Prędko do swego pokoju. Obiad? Nie. Nie będę jadła obiadu, Ręcznik? Tak. Proszę rozebrać łóżko. Zsunąć firanki.

Dziękuję za herbatę. Dobranoc. Wyciągam się na posłaniu. Kładę rewolwer na nocnym stoliku. Gaszę światło.

Jutro, o godzinie szóstej z rana skończę porachunki z życiem.

Budzę się. Świta. Serce pulsuje mi w skroniach, w uszach, biodrach nawet. Nie przedłużajmy okrutnych chwil.

Wyciągam rękę. Napotykam zimny rewolwer. Palce mi drżą. Zęby szcękają.

Dzwony. Zabiłam się, więc nie żyję. Ale serce wciąż pulsuje w skroniach, uszach, biodrach. Co to jest? Czyżby istniało życie po śmierci? Co ze mną zrobiono? Czym wykłeta? Czy rozgrzeszona? O, Chryste, któryś cierpiał jak człowiek, ulituj się nade mną! Bzy pachną!... Słońce świeci!.. Gdzie jestem?..

Jakto? Ciągle jeszcze ten sam pokój hotelowy w żółte i białe pasy? Ależ ja żyję chyba! Przy mojej skroni rewolwer. Niema krwi na posłaniu... Żadnej rany na czole... Siadam na łóżku. Biorę broń do ręki. Nabita. Co się stało? Dlaczego rewolwer nie wystrzelił? Natężam umysł. Skupiam się w sobie. Staram uprzytomnić godzinę ostatecznych myśli posunięć. Tak, pamiętam. Nie pociągnęłam za cyngiel. Musiało mi się niedobrze zrobić w decydującej chwili... Zasnęłam potem. Teraz godzina dziewiąta. Spałam jak susel od brzasku do tej chwili. Czuję się wypoczęta, młoda, zdrowa i silna. Rada ze spletanego sobie fiela, czy zmartwiona?

Nie wiem jeszcze... Co za szczęście jednak, że nie uprzedziłam władz! Uniknęłam Bogu dzięki, tragicomicznej sytuacji. Czy powtórzę nieudaną próbę? Taką jest młoda i silna! Sprobuje wziąć się za bary z życiem. Mam tysiąc franków. Sprzedawszy pozostawione mi laskawie ruchomości będę miała na podróż do Brazylii.

Tak jest. Wyjechać na obczyznę. Zająć umysł nowymi wrażeniami. Zacząć inne życie. Pełno projektów roi mi się w głowie.

Moje zawody i przykrości? Mąż? Jego kochanka? Wspomnienia zaciera się, maleją, gną w mej pamięci. Zabiłam je zamiast siebie! Bogu niech będą dzięki!

Dzwonę.

Staje przede mną młoda pokojówka z promieniejącą twarzą.

Dobrze, dziecko. Białą kawę z rogalami. Dlaczego się uśmiechasz? Rada jesteś z życia?

— Mama kochanka, proszę pani — otwiera mi serce swoje na rościęz.

Jest służącą, ma lat dwadzieścia, kochanka i czuje się szczęśliwą. Młoda jestem, zdrowa i silna. Jakie życie piękne!.. Obie mnie pełne! Czy pani zatrzymuje pokój?

— Tak... Nie... Ależ tak. Wyjeżdżam jutro rannym kurjerem.

Do dzieła! Dziś jeszcze zasięgnę rady w agencji. Moznaby wejść w porozumienie z gospodarzem mieszkania. Jemu sprzedać meble. Byle prędzej. Byle prędzej zatrzeć ślady po dawnym życiu. Zabiłam się! Inna kobieta staje dziś do walki z losem. Pełna wiary w siebie, w młodość swoją i zdrowie.

Kupię nową walizę, nową suknię, płaszcz podróżny o klaszowym fasonie i przez Bordeaux... Port - Said... dalej w drogę po nowe życie.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJER A ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 10 listopada 1929 roku.

Nr. 45.

Pożegnanie p. Stefanji Jarkowskiej.



Wybitna artystka Teatru Miejskiego w Łodzi, ulubiona i ceniona bardzo przez publiczność, p. Stefanja Jarkowska, opanowała nasze miasto, przenosząc się do Warszawy. Cały zespół Teatru Miejskiego wraz z publicznością żegna niezapomnianego a uroczego „Gałgankę“, który na zdjęciu naszym jest z kwiatami w ręku w stroju, w jakim bierze udział w sztuce p. m. „Artyści“.